TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.......................................$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii.........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 45. Chicago, Ill., Czwartek, 10-go Listopada, 1898. Rok XII.

FR. HOFFMAN.

HRABIA I NIEDŹWIEDZIARZ.

PRZEŁOŻYŁA.

PAULINA Z L. WILKOŃSKA.

(Ciąg dalszy).

Otóż idzie już pewnie! — zawołał Petrowicz, wyjrzawszy oknem, z którego można było widzieć drogę wiodącą do zamku. Idzie pan jakiś stary i chłopczyk ładnie ubrany. Zapewnie to oni, Oni! oni! poznaje starego Sztajna. Przywitajcie ich, panie pryncypale! Ja zostanę na boku, bo mógłby mnie sobie przypomnieć, a wtedy byłoby licho!

— To skryjże się! Prędko! Bo są już przed domem.

Petrowicz znikł w komorze obok, którą mu gospodarz na sypialnię przeznaczył. W parę minut potem szybko drzwi rozwarto i wszedł Feliks, rumiany od szybkiego biegu i podniecony ciekawością tego, co miał zobaczyć. Za nim sędziwy rządzca.

— Czy wy jesteście tym, mój panie, co to ma niedźwiedzia wielkiego i wielbłąda? zapytał Feliks niedźwiedziarza.

Do usług jaśnie wielmożnego panicza— odrzekł Iwan pokornie i skłonił się aż ku ziemi. — Ale na nieszczęście zachorował mi wielbłąd, więc nie będę mógł panu hrabiemu tak pokazać zwierząt, jakby przynależało.

To nic nie szkodzi! odrzekł Feliks. — Chciałbym ich przynajmniej widzieć teraz, a szczególniej niedźwiedzia. Czy duży bardzo i dziki?

— Bardzo duży, lecz nie dziki wcale — wymówił Iwan układnie. — Jest ugła-

skany, potulny i dobry, je z ręki i można śmiało zabawić się z nim, jak z psem. Wygląda on dziko obrosły i rozczochrany, ale niech panicz nie lęka się niczego.

— Któż wam powiedział, że ja się lękam? wyprostował się Feliks dumnie. — Chcę widzieć niedźwiedzia zaraz, prowadźcie do niego.

— Nie tak nagle Felciu! — zawołał stary rządzca, a zwróciwszy się do niedźwiedziarza zapytał: Czy ten niedźwiedź istotnie tak jest ułaskawionym?

— Rzeczywiście, wielmożny panie, przysięgam! — odrzekł Iwan — istnie, jakby piesek pokojowy. Oprowadzam Maruszkę już trzy lata po świecie, a nikomu nigdy nic nie zrobił. Daję życie moje w zakład, że panicz do niego bezpiecznie przystąpić może.

— To pokażcież nam to zwierzę — wymówił Sztajn słowami niedźwiedziarza zaspokojony. — Lecz Felciu, daj rękę i słowo, że na krok jeden nie oddalisz się odemnie.

Feliks przyrzekł wszystko przez pożądliwość widzenia niedźwiedzia co rychlej. Iwan poprowadził gości przez podwórze do dość dużej i jasnej stajni, gdzie zwierzęta swoje umieścił. Gdy drzwi otworzył, wcisnął się Feliks pierwszy, ale i cofnął się zaraz trochę, mimo niezaprzeczonej odwagi, a nawet i śmiałości zuchwałej, której niejednokrotne dał dowody; bo niedźwiedź przykucnięty w kącie stajni podniósł się nagle i postępował ku Iwanowi wcale niewdzięczne wydając mruczenie.

— Nie panicz nie obawia się niczego! Niczego w świecie! uśmiechnął się niedźwiedziarz do malca. — Maruszka dla tego niespokojnym jest trochę, bo głodny. Gdy mu panicz coś do zjedzenia poda, to i zaraz najlepszym będzie przyjacielem.

— Ale cóżbym mu dał, kiedy nic nie mam? odparł chłopiec.

— Daj mu panicz ten kawałek chleba— wymówił niedźwiedziarz, podając Feliksowi kromkę. — Gdybyśmy miód mieli i posmarowali mu chleb, to i byłby szczęśliwy nad miarę.

— Miód? zapytał chłopczyk żwawo. — Gospodarz musi nam dać miodu. Poczekajcie chwilę! Pobiegnę i wrócę zaraz.

Wybiegł, a w parę minut potem przyniósł garnek z miodem. Niedźwiedziarz podał mu kawałek chleba, Feliks umaczał go w miodzie i niedźwiedziowi podał, który pożerał go pożądliwie, mrucząc przytem z wielkiem zadowoleniem i spoglądając czule na chłopca.

Feliks naśmiał się serdecznie z wielkiego, kudłatego zwierza. Podawał mu kawałek po kawałku, aż do ostatniego okrucha, a niedźwiedź tak zgrabnie odbierał pożywienie z rączki chłopczyka, jak piesek wypieszczony cukierek z rąk pani swojej. Nakoniec potrzymał mu garnek, który niedźwiedź wylizał do szczętu, jak gdyby go umył.

Stało się też, jak niedźwiedziarz przepowiedział, bo Maruszka okazywał teraz miłość wielką dla chłopca, że ten mógł go głaskać, drapać po uszach i klepać po plecach. Przyjmował nawet te pieszczoty z wielkiem upodobaniem, odpowiadał na nie dobrodusznem warczeniem i ocierał delikatnie swój łeb kudłaty o piersi uradowanego chłopca.

— Poszedłby teraz za paniczem przez ogień i wodę — odezwał się niedźwiedziarz z uśmiechem. Jest to dziwnie mądre i nadzwyczaj wdzięczne stworzenie. Mógłbyś panicz przy nim teraz dzień i noc pozostać, niczby panu hrabiemu nie zrobił, a obroniłby pewno, gdyby zwierz jaki dziki chciał paniątko napastować. Niedźwiedź taki ma prawie ludzki rozum. Niech wielmożny pan wystawi jego przywiązanie i wierność na próbę — zwrócił się do Sztajna — Udawaj pan, że chcesz bić panicza, a zobaczycie państwo, jakto on się rzuci.

Sztajn rękę uniósł na Feliksa, i otóż niedźwiedź stanął zaraz na tylnych nogach, ryk grzmiący wydał i rzucał tak groźne spojrzenia, że Sztajn cofnął się przelękniony, gdy chłopczyk, ciesząc się nadzwyczaj, radośnie w dłonie klaskał.

— Paradne stworzenie! — zawołał. — Chciałbym go posiadać! Możebyś go pan niedźwiedziarz sprzedał?

— Ani za tysiąc talarów, mój panie hrabio! — odrzekł Iwan Iwanowicz. — Jakżebym żyć potrafił bez tego przyjaciela

poczciwego? Sztuki jego zapewniają mi utrzymanie.

— Przynajmniej muszę go codziennie widywać i dawać mu do jedzenia, tak jak dzisiaj. Pozwolicie mi to, nieprawdaż? Mój ojciec wynagrodzi wam wszystko.

— Ależ bardzo chętnie, mój kochany paniczu! — odrzekł Iwan Iwanowicz wielce zadowolony. — Przychodź pan hrabia tak często, jak zechcesz i jaśnie wielmożny ojciec zezwoli. Maruszka i ja ucieszymy się, ile razy paniczek nam ten zaszczyt wyświadczy.

— Więc przyjdę znowu jutro o tym samym czasie. Bierzcie tego talara na znak mojej wdzięczności. A teraz, adieu! Będę ojcu opowiadał o wszystkiem.

Pogłaskał jeszcze niedźwiedzia a potem powrócił z Sztajnem do zamku. Niedźwiedziarz popatrzył za nim z tryumfującym uśmiechem.

— Wszedłeś w pułapkę, hrabczyku! — rzekł to i znajdzie się sposobność niebawem, bym klapkę zapuścił i naszym będziesz!

Feliks, jak zapowiedział, tak i uczynił. Przychodził codziennie do karczmy, karmił niedźwiedzia najwyszukańszymi kąskami i bawił się z nim, jak z pieskiem. Ale z chłopcem przybywał także i stary rządzca, niespuszczając go z oka na chwilę jedną.

Upłynęło dni kilka. Iwan począł się niecierpliwić i już przypuszczał, że nie potrafi przeprowadzić tak zręcznie ułożonego planu. Gdy niespodzianie, dnia siódmego, Feliks zjawił się sam jeden.

— A gdzież panicz swojego towarzysza zostawił? zapytał niedźwiedziarz uradowany wewnętrznie nad miarę.

— Poczciwego Sztajna głowa boli, zresztą nie wiem, co tam przeszkadza więcej, że dziś wyjść nie mógł, więc sam przybiegłem.

— Ale czy też panicz dobrze uczyniłeś? Czy ojciec wie o tem?

— Nikt nic nie wie. Po cóż pytać miałem dopiero? Przecież mi ojciec raz na zawsze pozwolił przychodzić tutaj. Chodźmy do Maruszki! Przyniosłem mu dziś przedziwne kąski.

Iwan zaprowadził go do stajni, powiedział, że ma interes jakiś, lecz powróci zaraz, i wyszedł.

Feliks na to nie zważał bynajmniej. Zaprzyjaźnił się już o tyle z niedźwiedziem, że nie lękał się wcale wielkiego zwierza, który stał się dlań potulnym, jakby dla swojego pana. W czasie gdy bawił się z Maruszką, pobiegł Iwan do komory, gdzie Petrowicz zostawał, niby to, w obec gospodarza, chory na febrę. Nikt też nie troszczył się o niego, co właśnie dogadzało mu bardzo. Gdy wszedł Iwan, poskoczył ze stołka i zapytał:

— Cóż mi tam powiecie?

— Że zapowiedziana nagroda nam nie ujdzie! — odrzekł Iwan.

Po krótkiej rozmowie, wymknął się Petrowicz cichaczem przez furtkę ogrodową, a Iwan powrócił do stajni. Feliks ani spojrzał na niego, jedynie niedźwiedziem zajęty.

Nabawiwszy się z nim do syta, rzucił niedźwiedziarzowi, jak zwykle talara i wyszedł, by wrócić do zamku. Musiał przez małe przechodzić zarośle, przytykające do lasu. Przebywał je wesoły i zadowolony, gdy nagle zarzucono na niego wielką derę wełnianą, powalono go na ziemię, a obwinięto tak mocno, że i zakrzyknąć nie mógł. Potem został podjęty i niesiony przez kogoś, biegnącego szybko.

W godzinę później wrócił Petrowicz i również tajemnie wśliznął się znowu do karczmy, przez nikogo nie widziany.

— Ukryłem chłopca tak doskonale, że i tysiąc szukających nie znalazłoby go pewno! odpowiedział Iwanowi zadowolony.

Niedźwiedziarz ucieszył się bardzo. Odpowiedział mu tylko słów parę, a potem usiadł przed domem na ławce, z miną najswobodniejszą i niewinną. Gospodarz przystąpił do niego i gawędzili z sobą o tem i o owem. W tem biegł ktoś od zamku z nadzwyczajnym pospiechem.

— Ot, pędzi tu stary Sztajn! — wymówił karczmarz. — Znać pilno mu bardzo. Ciekawym co on chce?

Stary rządzca nadbiegł bez tchu, zasapany i spotniały.

— Gdzież jest panicz? — zaledwo zdołał zapytać.

— Nie wiem, panie — odrzekł karczmarz.

— Był tutaj, pobawił się z niedźwiedziem i poszedł może już przed godziną. Stałem we drzwiach, pożegnał mnie i mówił, że wraca do zamku.

— Miłościwy Boże, to i gdzież się podział? — zawołał Sztajn, załamując ręce, dotknięty trwogą bolesną. — Do zamku nie wrócił i w parku go niemasz. Szukaliśmy go napróżno wszędzie. Muszę zwołać ludzi i po prostu zrobić obławę w lesie i po polach. Nierozważne dziecko! Jakżeż mógł sam jeden puścić się tutaj? Lecz nie czas skargi i żale! Mój gospodarzu, zwołajcie ludzi ze wsi i przyszlijcie ich na dziedziniec zamkowy! Rozporządzę tam nimi. Mój gospodarzu, pospieszajcie tylko! Hrabia nagrodzi was sowicie!

Sztajn szybko wracał do zamku, a karczmarz puścił się na wieś, by odebranemu wezwaniu zadość uczynić. Nie upłynęło też pół godziny, a liczny zastęp wieśniaków już stał na dziedzińcu zamkowym.

Czyniono najtroskliwsze poszukiwania, sam hrabia z rozpaczony był na czele, i Sztajn wierny, zgryzotą zgnieciony. W noc późną wrócili dopiero a nie znaleźli nawet i najmniejszego o Feliksie śladu. Szukano i dni następnych. Setki ludzi przebiegało okolicę całą, lecz Feliksa jak nie było, tak nie było.

Nieszczęśliwy ojciec podejrzywał Albina, więc sam do Goczyna pojechał — lecz i tutaj nic wybadać nie potrafił. Dowiedział się tylko, że kuzyn jego już od kilku tygodni nie ruszył się wcale ze starego zamczyska. Hrabia Robert posłyszał wprawdzie, że Albin widział niedźwiedziarza i z nim rozmawiał. Zapytał go o to, ale kuzyn wytłumaczył mu gładko, że w pryncypale karawany poznał żołnierza z pułku, w którym służył dawniej więc i o niejednem z nim pogadał.

Mimo tego tłumaczenia hrabia Robert podejrzywał jednak, że niedźwiedziarz stał się może narzędziem niegodziwego kuzyna; a za powrotem do Sokolnicza, najściślejsze zaprowadził śledztwo, co do niedźwiedzia i towarzysów jego. Karczmarz, człowiek poczciwy i do hrabiego przywiązany, poświadczył, że gdy Feliks karczmę opuścił, by wrócić do zamku, nikt z należących do karawany z niej nie wyszedł. Potwierdziła to i czeladź w zajeździe. Znikała więc coraz bardziej nadzieja, odzyskania chłopca, lub posłyszenia czegoś o nim. A przypuszczano ogólnie, że zapewne jakim nieszczęśliwym wypadkiem utonął w potoku, który wartko i bystro las przerzynał.

W skutek gwałtownego zmartwienia hrabia Robert na ciężką zapadł chorobę, która o mało, że go nie pochłonęła do grobu. Starania lekarzy i troskliwość Sztajna przywróciły mu zdrowie ciała — lecz umysł jego pozostał chorym a dusza przebolałą. Zniknęło dla niego szczęście całe. Zycie już dzisiaj nic go nie cieszyło. Serce pozostało martwem na wrażenia wszelkie. A na jego pobladłych, zestarzałych rysach nikt już uśmiechu nie dojrzał.

I staremu Sztajnowi przybyło w tygodniach niewielu z jakie lat dziesiątek. Bolał niemał tyle nad stratą dziecka, co własny ojciec. Bo kochał to chłopię, nieco za samowolne, nieposłuszne, lecz dobrego serca — kochał Feliksa, jak nikogo w świecie.

IV.

W dni kilka po zniknięciu Feliksa, zabierał się i Iwan Iwanowicz w pochód z karawaną swoją. Nikt mu w tem nie przeszkadzał, i nikt nie podejrzywał, ażeby on w czemkolwiek był przyczynił się do tego bolesnego wypadku.

Po kilku tygodniach zjawił się z karawaną w jakiejś polskiej wiosce. Młodzież ciekawa obstąpiła niedźwiedzia, który tańczyć musiał, gdy wielbłąd różne pokazywał sztuki. Petrowicz uderzał w bęben a Szaszka, z poważnem bum — bum — bum, mięszał piskliwe tony pikuliny.

Karawana, odkąd była w Sokolniczu, o jednę jeszcze powiększyła się istotę; ładny mały chłopczyk, w ubiorze fantastycznym niby tureckim, obchodził z talerzem w ręku i zbierał łaskawe datki u zgromadzonej dość licznie publiczności.

Chłopiec miał nie więcej jak lat sześć, twarzyczkę nadzwyczaj ładną, ale tak śnia-

dą, jak Cygan. Włosy krucze, długie, spuszczały się w lokach gęstych z pod jaskrawego turbaniku aż na ramiona. Wreszcie przedstawił się wątły i jakby cierpiący, a twarzyczka tyle jawiła smutku, że aż litość budził i współczucie. Niejedna dłoń szorstka, kładąc pieniądz na talerz, pogłaskała biedne chłopię, niejednego przyjaźne do niego przemówiono słówko, którego jednak nie zrozumiał, nieumiejąc po polsku. Na wszystkie pieszczoty i przemówienia głosem łagodnym, łzami odpowiedział tylko, które jasnemi perełkami po jego ciemnych spływały policzkach.

Domyślamy się, że tym chłopczykiem był Feliks, i że niedźwiedziarz w zupełności zamiaru zbrodniczego dokonał. Przebył z nim granicę i uprowadził go o mil wiele, w głąb Polski, a nikt nie byłby nawet mógł przypuszczać, że odzienie cygańskie kryje synka i dziedzica hrabiego Normana. Ciemne pomalowane lica i czarna peruka oszpeciły Felcia biednego, lecz mimo to zawsze jeszcze ładnym pozostał.

Nieszczęśliwemu chłopcu źle wiodło się bardzo. Petrowicz go nienawidził, więc też często odbierał od niego sturchańce i kułaki. Szaszka był lepszym, a Iwan Iwanowicz nie troszczył się wcale o niego.

Wychowany w wygodach, rozpieszczony i nawykły do wykwintu, znosić teraz musiał zimno, głód i razy rozliczne, a nie wolno mu było żalić się albo płakać. Nic zatem dziwnego, że chłopiec zmarniał straszliwie, że pamięć o przeszłości postradał całkiem i że nawet po latach kilku, już i ojca sobie nie przypomniał, tylko jakby przez sen. O nazwisku swojem i pochodzeniu najmniejszego nie miał pojęcia. Bystry i uzdolniony Feliks stał się głupkowatym niemal.

* * *

Przeskoczymy przestrzeń lat dwunastu, w których nic tak dalece nie zaszło. Iwan Iwanowicz włóczył się po Polsce i po Rosyi całej, a Feliks z nim wszędzie; wyrósł tymczasem na pięknego i silnego młodzieńca. Nabrał z latami siły ciała, lecz umysł jego tępiał coraz więcej. Z lat dzieciństwa zaledwo cień jeden pozostał mu wspomnienia. Jedno wszelako przechował: wrodzone jego naturze szczęśliwej niewzruszone uczciwości poczucie. Nie pomogły groźby ani kij nawet, by go zmusić do czegoś, coby go wstydem okryć miało następnie. Petrowicz, Szaszka, nawet i sam Iwan Iwanowicz, wszyscy kradli jak kruki, cokolwiek porwać zdołali w czasie włóczęgi każdej; nieraz żądali, by i Feliks kradł także, do czego jednak poczciwy chłopiec nigdy nakłonić się nie dał.

— Zabijcie mnie raczej — odpowiadał im zawsze — bo wolę umrzeć, aniželi haniebnego dopuścić się czynu.

Za taką odpowiedź bili go zwykle i poniewierali nim straszliwie, lecz on niewzruszonym w uczciwości swojej pozostał. Dali mu nakoniec spokój, lecz znienawidzili nieugiętego ostatecznie i pastwili się nad nim przy sposobności każdej, jak mogli.

Biedny Feliks nie miał nikogo przyjaźnego dla siebie, prócz jednego niedźwiedzia, którego przywiązanie pozyskał sobie już wtedy, gdy mu z ojcowskiego domu przysmaczki różne przynosił — i przyjaźń ta potrwała i nadal. Maruszka raz nawet obronił go stanowczo, gdy Petrowicz straszne razy chciał chłopcu wymierzyć, i o mało że niegodziwego nie udusił parobka Odtąd też już nigdy w obec niedźwiedzia nie zadzierał się z Feliksem, który więcej jeszcze poczciwe i wdzięczne pokochał zwierzę.

W chwili, gdy wątek powieści naszej podejmujemy znowu, znajdował się Iwan z karawaną swoją w małem miasteczku, niedaleko granicy polskiej, gdzie, jak zwykle, przedstawienia na ulicy dawał.

Było już po południu, gdy z głodnemi i zmęczonemi zwierzętami do brudnej powrócił karczmy. Gospodarzem tejże był człowiek, z prawdziwie złodziejskim wyrazem twarzy. Iwan z nim zasiadł w pustej szynkowni i jakąś ożywioną zawiązali gawędę. Petrowicz i Szaszka wałęsali się po ulicach, pewno ażeby co ukraść, pozostawiwszy staraniu Feliksa głodne i zmęczone zwierzęta.

Z dobrą wolą obdzielił Feliks żywnością psy, małpę, wielbłąda i niedźwiedzia, dał im wody do picia, umył, wyczesał i oczyścił ich, i właśnie chciał wyjść ze stajni, w której spoczywał Maruszka, gdy po-

słyszał, że ktoś nadchodzi. Był to niedźwiedziarz i Petrowicz, a Feliks, niechcąc spotkać się z nimi, bo unikał niegodziwego parobka o ile mógł, cofnął się w ciemny kąt stajni i przy siadł na ziemi pod korytem, gdzie nikt dojrzeć go nie mógł. Tutaj nie lękał się razów i kułaków Petrowicza, bo wiedział, że go poczciwy przyjaciel Maruszka skutecznie obroni. Iwan drzwi do stajni otworzył i obadwaj z Petrowiczem w głąb zajrzeli. Zobaczyli tylko niedźwiedzia, dojadającego objad, bo ogromem swoim całkiem szczupłego zasłonił Feliksa.

— Chodź! Niema tu na szczęście tego przeklętego chłopaka — wymówił Iwan i wszedł pierwszy; a potem za Petrowiczem drzwi na zasuwkę zamknął.

— To i co, panie pryncypale? — zapytak parobek, mrucząc jak zawsze. — Cóż tu mam robić? Cóż to za jakieś sekreta?

— Zaraz posłyszysz! — odrzekł Iwan — Ten karczmarz proponował mi interes doby, który, przy niedużem niebezpieczeństwie, może piękne przynieść zyski. Mógłbyś zarobić parę garści imperyałow, gdybyś chciał.

— Jakiż to interes? Niewiedząc o co chodzi, nie polezę w błoto.

— Bardzo rozsądnie! Powtórzę ci wszystko, o czem karczmarz mi mówił. Interes tyczy się bardzo bogatego kniazia, który o mil parę samotnie mieszka, jakby mruk istny, Pan to milionowy: dość powiedzieć, że książę Worońców, a zły, marudny i o bożym świecie wiedzieć nie chce. Stary ma już lat siedmdziesiąt, nieżonaty, bezdzietny, i ma tylko przy sobie starego kamerdynera i również starą kobietę, która gospodarstwo prowadzi domowe. Są tam zabudowania różne, gumna, spichlerze, ekonom, służba dworska, mnóstwo parobków i dziewek, ale to może o jakie dwa staje od pałacu, a gdy noc zapadnie, to przy nim pozostają tylko ci dwoje starców, a nikomu i zbliżyć się niewolno. Dziwak snać, a może i waryat! karczmarz utrzymuje, że obok sypialni księcia leżą kupy złota, krocie rubli! że tam łatwo dojść bardzo. Mur ogrodowy jest uszkodzony, więc przejść nie trudno. A do pałacu wnijść można przez okno prowadzące do skrzydła, stojącego całkiem pustkami. Część ta pałacu leży na północ. A południowe skrzydło zamieszkuje książę, dokąd ztamtąd dostać się łatwo. Pokój sypialny ma na piętrze. Na dole spi kamerdyner i ta baba jakaś. Karczmarz twierdzi, że małą jest rzeczą napaść tych dwoje, związać i zakneblować im gęby, ażeby nie krzyczeli. A potem wnijść do tego dziada siedmdziesięcioletniego, zmódz go od razu i wszystkie zabrać skarby. To i cóż ty na to, Petrowiczu?

Parobek słuchał. Oczy jego błysnęły a ręce drżały z chciwości. Z piersi jego głębokie wyrwało się westchnienie, i zapytał głosem ściśnionym.

— Czy to wszystko jest prawdą?

— Prawdą najprawdziwszą! karczmarz zaprzysiągł się. Żąda on tylko dziesiątej części całego łupu.

— Więc dalijże! Gdyby i dzisiejszej jeszcze nocy! zawołał Petrowicz. — Łatwo mogliby nas uprzedzić inni. Dziwna nawet, że to już nie nastąpiło!

— Karczmarz mówi, że poddani księcia kochają, bo dobrym jest dla nich bardzo, więc też nikomu dotąd na myśl nie przyszło, by go zrabować.

— Cóż nam do tego, że on jest dobrym! zawołał Petrowicz. Zatem wyprawa dzisiejszej nocy! Lecz o której godzinie?

— O drugiej po północy, gdy wszyscy w najlepszym śnie będą — odrzekł Iwan.— Bądź przygotowanym o pół do pierwszej.

— Zgoda! Nie chybię z pewnością! zaśmiał się Petrowicz radośnie. — Może to być zdobycz, która nam da bogactwo na życie całe!

— Z pewnością! Ale sza o wszystkiem! Niechaj nawet i Szaszka nic nie wie. Dość, że my podzielimy się we dwóch.

Po tych słowach wyszli obadwaj ze stajni. W chwil kilka potem wyszedł i Feliks za nimi, obejrzał się na wszystkie strony ostrożnie; przesunął się niepostrzeżenie przez podwórze za wrota, i wyszedł na ulicę. U najbliższego kupca zapytał o kniazia Worońcowa, a powziąwszy dokładną wiadomość, z cicha i pospiesznie znowu do zajazdu powrócił.

Nikt tam nie dbał o niego. Usiadł sobie spokojnie w kącie szynkowni, dopóki go z niej Iwan o godzinie dziewiątej nie

wyprowadził. Wstał zaraz i wybiegł. Ale zamiast pójść do stajni i z niedźwiedziem legowisko podzielić, jak zawsze, wyśliznął się z domu, jakoby cień, i poleciał spiesznie w kierunku, gdzie leżał zamek księcia Worończowa. — Niezadługo dojrzał zarysy wielkiego gmachu w oddali, jasno widome w świetle księżyca. Domyślił się, że to jest zamek — w kwadrans potem już dobiegł celu. Zastukał całą siłą w drzwi zamknięte. Niebawem otworzono okno na dole i głos w polskim zapytał języku:

— Któż tam sztuka o tak późnej porze?

Feliks umiał już teraz po polsku i odpowiedział:

— Przyjaciel dobry! Wpuść mnie, panie! Muszę bez zwłoki pomówić z księciem. Grozi mu wielkie niebezpieczeństwo.

— Proszę chwilkę poczekać. Drzwi otworzę zaraz.

Niebawem posłyszano skrzypienie klucza i zasuwki, drzwi otworzono, a przed Feliksem stanął mężczyzna stary ze świecą w ręku.

— Czy sam jesteś tylko? zapytał.

— Sam jeden.

— Więc chodź!

Feliks wszedł. Stary sługa drzwi znowu zamknął starannie i zaprowadził nocnego przybysza do dużego, ładnie umeblowanego pokoju.

— Proszę mi teraz powiedzieć, czego żądasz od księcia? zapytał.

— Niczego nie żądam — odrzekł Feliks. — Chcę go tylko powiadomić, że dzisiejszej nocy mają go zrabować, a może i jego życie będzie w niebezpieczeństwie.

Przestraszył się starzec, ale i zaraz pokręcił głową, jak gdyby temu nie wierzył.

— To jest niepodobna! wymówił. — Niktby się tego zrobić nie poważył, nasi ludzie są poczciwi poddani przywiązani do księcia.

— To też nie poddani, nie tutejsi ludzie chcą tego dopuścić się zamachu — odrzekł Feliks szybko — ale obcy ludzie, śmieli, zuchwali! Na Boga, zaprowadź mnie panie do księcia, by nie było na ratunek za późno!

Każdy wyraz i spojrzenie Feliksa wyrażały obawę. Więc też kamerdyner po chwilowym wyrzekł namyśle:

— To chodź-że! Może książę nie położył się jeszcze.

Weszli po szerokich, kręconych schodach na piętro, a w parę minut potem stał Feliks w obec księcia. Był to sędziwy już starzec, lecz czerstwy jeszcze i silnej postawy, który dobrodusznie na chłopca spojrzał.

— Siadaj — wymówił — i opowiedz, co jest przyczyną tych późnych odwiedzin.

Feliks usiadł i w krótkich słowach opowiedział mu rzecz całą. To jest: dosłyszaną w stajni niedźwiedziarza rozmowę.

Książę wysłuchał wszystkiego z wyrazem spokojnym.

— Wierzę temu, co mówisz — wyrzekł, gdy Feliks skończył — ale cóż ciebie spowodowało, byś mi o tym zamierzonym doniósł rabunku?

Feliks spojrzał na księcia zdziwiony.

— Co mnie spowodowało, bym to uczynił? powtórzył — chciałem ostrzedz księcia, nic więcej, bo niebezpieczeństwo jest wielkie, a dopełniwszy tego, odchodzę. Iwan i Petrowicz zabiliby mnie niezawodnie, gdyby spostrzegli, że mnie niema i domyślili się jutro, żem ich rabunkowi przeszkodził. Żegnam więc księcia, a raz jeszcze przestrzegam, że to są ludzie okrutni i do każdej zbrodni gotowi.

Feliks pokłonił się i chciał odejść.

— Stój, chłopcze! zawołał książę. — Pozostań tutaj! Ty, Pawle, biegnij na folwark i sprowadź kilku parobków, by w parku na rabusiów czekali. Ze czterech niechaj tu przyjdzie, to i będzie dosyć.

Stary sługa wyszedł. Feliks sam został się z księciem.

— No, a teraz, mój chłopcze, pomówimy o tobie — zagadnął książę. — Jakiż jest twój stosunek z tym niedźwiedziarzem? Powiedz mi wszystko otwarcie i szczerze.

Feliks ramionami ruszył i odrzekł:

— Od lat wielu włóczy on mnie z sobą po świecie. Jak dostałem się do niego, tego i nie pomnę. Nie raz, jak gdyby sen, przypomina mi się zamek jakiś, park piękny i jacyś dobrzy ludzie, którzy wielkie o mnie mieli staranie, którzy mnie kochali. Ale, czy to było prawdziwe, czy też tylko o tak szczęśliwem położeniu marzyłem, powiedzieć nie umiem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

FR. HOFFMAN.

WUJ I SIOSTRZENIEC

Z niemieckiego wydania

PRZEŁOŻYŁ

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

Motto:
Kto w Boga wierzy, nie lekceważy
Jego przykazań.

(Ciąg dalszy.)

"Nie, niemożna iść," dodał Herkules, "Dobry Massa niepowinien umierać za niewolników. Nieprzyjaciel obaczy pewnie, bo ciało białe. Czarny powinien odważyć się! Herkules pójdzie."

Z niemałem zdziwieniem spojrzał obecnie pan Wanderstraten na murzyna. "Jakto — zawołał — ty chcesz narazić życie swoje za białego człowieka?"

"A dla czego nie? Tak samo myśli wiele bardzo czarnych. Wszyscy pójdą z ochotą na śmierć za Massę Emeryka."

Hm! mruknął pan Wanderstraten. "Czyżbym ja miał w rzeczy semej krzywdzić czarnych, uważając ich dotychczas za zgraję niewdzięczników i nicponiów? Mikołaju, jeżeli oni lepsi, jak mniemałem i wierzyłem, nie kto inny temu winien, jak tylko ty, ty bowiem wpajałeś we mnie to przekonanie."

"Mikołaj zły człowiek, Herkules wiedział o tem, inni tak samo wiedzą. Dobry chrześcianin nie powinien mścić się, tak nas nauczali księża."

"Dobrze, ale czy wszyscy czarni, którzy pozostali w domu są chrześcianami?" zapytał pan Wanderstraten.

"Wszyscy!" odpowiedział śmiało Herkules. "Ci inni uciekli, a chrześcianie pozostali, aby wypełnić swój obowiązek, i bić się za Massę. Niechaj Massa wie, kto z nas chrześcianinem, a kto nie, i niechaj karze, jeżeli chce!"

"Nie chcę, Bóg mi świadkiem!" zawołał pan Wanderstraten, zaskoczony tak niespodzienie i głęboko wzruszony. "Więc ci, których prześladowałem, ci narażają życie swoje, aby mnie obronić, a człowiek, którego dobrodziejstwami obsypywałem, poszedł do okrutnego nieprzyjaciela i zdradził! Zaprawdę Emeryku tych ludzi niepotrzebuję obawiać się, bo kto najważniejsze przykazanie pańskie: kochaj twoich nieprzyjaciół, czyń dobrze tym, którzy cię obrażają i prześladują, tak szczerze i wiernie wypełnia, jak ci właśnie obrażani i prześladowani czarni, ten niebyłby zdolnym popełnić jakiś zły czyn, zdradzić, lub dopuścić się sprzeniewierzenia."

"Źle, żem tak późno poznał wnich te cnoty! Gdybym o tem wszystkiem był dawniej wiedział, nie jedno stało by się inaczej. Ale to powiedz Herkulesie braciom twoim, że jeżeli nam uda się wyjść cało z tego niebezpieczeństwa, że natenczas ja sam postaram się wam o księdza i zbuduję kościół, w którym swobodnie bez wszelkich przeszkód będziecie mogli modlić się do Boga! — Zaprawdę, tylko w potrzebie i nieszczęściu poznaje się przyjaciół — a tych, których jako takich poznałem niezaprę się i wówczas, jak niebezpieczeństwo minie!"

Oczy Herkulesowi błyszczały, kiedy pan Wanderstraten mówił, a gdy skończył, zawołał tenże z zapałem: "Nie zapóźno Massa! Herkules uratuje wszystkich, przywoła wojsko! A jeżeli złapią go, pójdzie drugi

czarny, i tak aż do ostatniego."

Herkules chciał odejść i nawet zawrócił się już ku drzwiom, gdy te w tejże samej chwili szybko rozwarły się i młody jakiś murzyn wbiegł. "Chodźcie prędko — zawołał w progu — nieprzyjaciel zbliża się z wielką siłą!"

Herkules i Emeryk pochwycili co prędzej za broń, i pobiegli na dół, pan Wanderstraten zaś drząc od strachu upadł w swoje krzesło, jęcząc: "O Panie ratuj nas, bo rzesza nieprzyjaciół jest wielka, a siła ich nie dozniszczenia!"

Straszny okrzyk bojowy rozległ się znowu, i z wściekłością opisać się nie dającą poczęli czarni podsuwać się pod pałac. Kule świstały około nich, mimo to jednak, widząc nawet, że część napastników zabitych potoczyło się na ziemię, nie dali się powstrzymać. Niewielka zgraja dotarła do samych drzwi i tu poczęła układać rzędami słomę i inne palące się materyały, niezwracając uwagi wcale na bezprzestanny trzask strzelb, z których kule wylatując nie mogły ją trafiać, zbyt bowiem blisko podsunęła się była pod dom.

"Musimy wypaść!" mówił Herkules do Emeryka, który właśnie w tej chwili znowu bez skutku wypalił z pistoletu na śmiałych napastników. "Jeżeli nie zaradzimy w ten sposób, hultaje podpalą dom, a z nas wszystkich będzie pieczeń. Herkules zaś woli pieczeń jeść, jak pieczenią zostać."

"Wycieczka niepomoże nam," odpowiedział Emeryk. Bo skoro tylko otworzymy drzwi, zgraja cała wepcha się i pokona nas, ponieważ jesteśmy w mniejszości. A czy nie ma tu w pałacu jakiego dużego świdra?"

"Świder znajdzie się!" mówił Herkules, ale co z nim zrobić, nieprzyjaciel stać nie będzie i nie da się przewiercić jak beczka."

"Przynieś tylko świder, a obaczysz co z nim zrobię," odpowiedział Emeryk.

Herkules pobiegł więc na strzech, gdzie mnóstwo takich narzędzi rzemieślniczych złożonych było, których zawsze potrzeba w odosobionych plantacyach i za chwilę powrócił, niosąc dwa świdry.

"To doskonale! zawołał Emeryk. "Teraz jak najspiesznej odsuńcie całe zatarasowanie."

Niezwłocznie wykonano to polecenie. Emeryk odstawił broń na bok, poczem odmierzywszy na które miejsce przypada wysokość głowy ludzkiej, rozpoczął w tem miejscu wiercenie otworu.

Robi się otwór, żeby patrzyć?" zapytał Herkules.

"Nie, tylko żeby strzelać!" odpowiedział Emeryk. "Skoro strzelby nasze powsadzamy do tych otworów, to niebawem czmychną nasi nieprzyjaciele."

"Bardzo dobrze!" zawołał Herkules. "Teraz rozumiem. Teraz niech przyjdą podpalać, to my im pokażemy drogę!"

Pochwycił co prędzej za drugi świder i w kilku minutach wywiercono w drzwiach jeszcze kilka otworów do strzelania. Przyłożono następnie do tychże broń, a gdy tylko strzały padły w tejże samej chwili rozległ się krzyk przyraźliwy i nieprzyjaciel począł umykać. Ucieczka ta była dowodem, że szczęśliwych środków użył Emeryk do odpędzenia nieprzyjaciela. Bez wielkiego trudu odsunięto i owe palące się materyały od drzwi, i swobodnie odetchnęli obleżeni przekonawszy się, że niebezpieczeństwo spalenia się, które im groziło, szczęśliwie usunięte zostało.

Natomiast nieprzyjaciel nieposiadał się ze złości widząc zabiegi i plany swoje udaremnione. Ponowił więc atak do pałacu ze wszech stron i wypuścił chmury strzał do okien pałacowych, po za któremi ustawili się oblężeni. Ogień karabinowy utrzymywany bezprzestannie niedozwolił mu podsunąć się pod same ściany. Mimo to atak ten nie pozostał bez skutków. Strzały bowiem wypuszczone wleciały przez potłuczone okna do wnętrza i bądź zraniły, bądź też pozabijały wszystkich tych, którzy zaniedbali ukryć się starannie. Emeryk obaczywszy te skutki począł sobie robić wyrzuty, że już przedtem nieobmyślił jakichś lepszych środków obrony, i polecił wszystkie drzwi wewnątrz domu powyjmować i niemi, jakby parawanami pozasłaniać otwory okien, poczem kazał wiercić dziury w tych drzwiach takie same, jak w drzwiach głównych, przez któreby strzelać można. W ten sposób zasłonił oblężonych przed strzałami wypuszczanemi przez nieprzyjaciela, i żadna odtąd do

wnętrza dostać się już nie mogła; każda odbiła się od drzwi ustawionych w oknie. Na razie zaprzestano też i dalszej walki, nieprzyjaciel bowiem przekonał się, że wypuszczanie strzał żadnej korzyści przynieść nie może. Cofnął się więc za krzewy i krzaki, a Emeryk znalazłszy chwilkę swobodną, skorzystał z niej, aby wiernym czarnym za ich waleczność podziękować i rannych uprzątnąć. Tych ostatnich przeniesiono do dużego pokoju, rany pozawiązywano jak najstaranniej i poruczono pieczy lekko tylko rannych. Nieboszczyków zaś których znaleziono pięciu, zniesiono tymczasowo do piwnicy, odkładając pogrzeb na później. Uporawszy się jako tako, poszedł Emeryk do pana Wanderstraten, aby zdać sprawę ze wszystkiego, a zarazem donieść, że atak szczęśliwie odparty został, jak również pochwalić męztwo, wytrwałość i wierność niewolników, i w końcu wyrazić nadzieję, że ponieważ atak po raz już drugi udaremniony został nieprzyjaciel prawdopodobnie odstąpi od dalszego oblegania i atakowania i cofnie się w lasy.

Z upodobaniem słuchał pan Wanderstraten tego opowiadania, bo sprawiało ono ulgę sercu jego. Mniemal jednak, że byłoby jeszcze zawsze do życzenia, aby posłaniec jakiś wysłany został za wojskiem, wówczas bowiem, miejsce niepewnej nadziei, zajęłaby pewność, że uratowani zostaną. Herkules, który w ślad za Emerykiem przyszedł również na górę, poparł pana Wanderstraten i oświadczył ponownie, że gotów spróbować, czy może też nie uda się prześliznąć przez zgraję nieprzyjacielską. Emeryk nic nie miał przeciwko temu, przykro mu jednak było rozstawać się z Herkulesem, zaproponował więc czyby też kto inny w miejsce jego na ochotnika nie wybrał się. Herkules z widoczną niechęcią przyjął tę propozycyę i już mieli w tym celu zejść na dół pomiędzy obrońców, gdy w tem ciemności nocne rozświetlone zostały czerwoną łuną, a w pokoju, w którym się znajdowali, zrobiło się bardzo parno.

"Wielki Boże, co to takiego?" zawołał pan Wanderstraten przestraszony, przecież niepodobna, ażeby już słońce zeszło!"

Emeryk przyskoczył do okna i wyglądnął. "O źle — zagadnął — magazyny nasze stoją w płomieniach, nie ulega wątpliwości, że zapalił je nieprzyjaciel. Nie mogąc nam żyjącym zaszkodzić, mści się na martwych przedmiotach. Ale oprócz magazynów pali się i stara cukrowarnia i chaty murzynów, a zgraja nieprzyjacielska tańczy wokoło, jakby zgraja istnych djabłów! Hm, szkoda, którą wyrządzi, da się nietrudno powetować, ale jak prześliznie się pomiędzy nich jeden z nas, teraz, kiedy wskutek pożaru jaśniej aniżeli w dzień, tego pojąć nie mogę. Porzuć tę myśl kochany wuju! my nie możemy liczyć na co innego, jak tylko na siebie samych i na pomoc Boga, spodziewać się zaś jakiejkolwiek pomocy z zewnątrz byłoby nierozsądnie!"

"Tak, tak, ja już widzę, że niebawem skończyć będziemy musieli!" jęczał pan Wanderstraten spoglądając przez okno na oświetloną pożarem okolicę. "Tym djabłom nie ujdziemy pewnie!"

"Pozostaje nam jeszcze jedna, ale i ostatnia nadzieja," zawołał Emeryk. "Otwórzmy drzwi, połowa niechaj wypadnie, przebije się przez zgraję nieprzyjaciół i opanuje łodzie z armatami. Uda się dotrzeć aż do nich, jesteśmy natenczas uratowani; strzałom armatnim bowiem nie zdoła opierać się ta hołota, podczas gdy załoga na łodziach bezpieczną będzie przed każdym napadem, jeżeli tylko łodzie w stosownej oddali od brzegów zatrzyma. Jam gotów kierować tą wycieczką, jeżeli Herkules podczas tejże przyjmie kierownictwo obrony domu."

"Herkules zrobi wszystko, co Massa każe," odpowiedział młody murzyn. "Ale wycieczka niebezpieczna, zgraja nieprzyjaciół wielka, a łodzie pewnie pod strażą. Jakkolwiek nieprzyjaciel nie potrafi użyć armat, wie jednak, że armaty to niebezpieczna broń. Jeżeli łodzie nie strzeżone, wtedy wypaść, ale jak nieprzyjaciel na nich, zostać w domu i bronić się, dopóki pomoc nie nadejdzie!"

"Ale skąd ma nadejść ta pomoc?" pytał Emeryk. "Nasi przyjaciele i najbliżsi sąsiedzi mieszkają o mil kilka stąd, a na żołnierzy niema i co liczyć, skoro niepodobna zawiadomić ich o nieszczęśliwem naszem położeniu. Musimy na wszystko od-

ważyć się, jeżeli nie chcemy poginąć z głodu jak szczury pochwycone w łapkę."

"Dobrze!" przemówił Herkules, "więc poczekajmy, dopóki nie nadejdzie dzień, a wówczas zobaczymy, czy łodzie strzeżone są, czy nie, i wówczas wypadniemy, jeżeli nieprzyjaciel nie odejdzie sam. Może odejdzie rano, przekonawszy się że dobrze bronimy domu. Niebezpieczeństwa nie ma jeszcze takiego, ażeby życie stawiać na kartę!"

"Herkules ma słuszność," rozstrzygnął pan Wanderstraten, który bardzo niechętnie słuchał o rozłączeniu sie z siostrzeńcem, tą najlepszą obroną jego w tem oblężeniu.

Emeryk mimo to jednak, nie mógł się jeszcze zdecydować, żywe bowiem usposobie jego pragnęło rychłego rozstrzygnięcia tej nieprzyjemnej sprawy. Herkules dopatrzył tego wachania się i zawołał: "Massa zostanie tu. W domu bardzo bezpiecznie. Może następnej nocy potrafimy prześliznąć się, jak będzie ciemno. Teraz niebezpieczeństwo bardzo wielkie. Poczekać trochę, to przecież lepiej, jak umierać."

"Ha, kiedy już obydwa sprzeciwiacie się, więc czekajmy w imie Boże," odpowiedział Emeryk. "Dałyby tylko nieba, byśmy tej zwłoki ciężko nieodpokutowali."

Przystąpił do okna i spojrzał. Ogien, który nieprzyjaciel podłożył, rozszerzał się coraz bardziej, ogromne płomienie buchały z palących się magazynów i chat murzynów w górę ku niebu, chmury dymu napełniały całą pobliską okolicę, a istny deszcz iskier wypadał co chwila z palących się budynków i niebawem w znacznej oddali spadał na ziemię. Szczęściem lekki tylko wiaterek powiewał, i to w kierunku od domu, niebezpieczeństwo więc temu ostatniemu nie zagrażało żadne. Jasność, którą płomienie rozniecily, była tak wielką, że bardzo dokładnie można było oglądać całą zgraję napastników, z których jedni tańczyli, drudzy zaś, o ile płomienie na to pozwalały, rabowali i wynosili wszystko, coby tylko jaką taką bodaj mogło mieć dla nich wartość. Pan Wanderstraten marszczył czoło ze złości, patrząc na to pustoszenie, a Emeryk pocieszał go i tłumaczył, że szkoda da się powetować łatwo, że w ogóle to wszystko jest rzeczą mało bardzo znaczącą, skoro do sklepionych składów, gdzie skarby złożone były niewłamano się jeszcze, ani kosztownych maszyn, które przed niedawnem dopiero Emeryk poustawiał, nie zniszczono. "A o jedno i drugie nie ma nawet i czego obawiać się — dodał w końcu — bo składy zbudowane są z samych kamieni i silnie sklepione, maszyny zaś są stąd zbyt daleko, dzika więc ta zgraja nie zechce aż tam fatygować się. Pozwól jej kochany wuju, niechaj pali! a że magazyny poniszczyła, tem lepiej dla nas, zabraknie jej bowiem już niebawem pożywienia, a więc i uczuje się zmuszoną odejść z powrotem do lasów."

Pan Wanderstraten uspokoił się nieco, a Emeryk zaś porozumiawszy się z Herkulesem, coby jeszcze uczynić należało podczas tej reszty nocy, poszedł spocząć, czuł bowiem potrzebę przespania się bodaj godzin kilka, ażeby nad rankiem z świeżemi siłami powstać do nowej walki. Zranione kłami jaguara ramię bolało go jeszcze, a nadto nie mało przyczyniły się do zmęczenia przygody dnia wczorajszego i ta walka nocna. Rzucił się więc na sofkę, a oddech głęboki i regularny po kilku minutach już przekonał Herkulesa, że przyjaciel zasnął. Herkules opuścił pokój ten i poszedł na dół do reszty obrońców, aby wraz z nimi czuwać, kiedy biały przyjaciel śpiąc nabiera sił do nowych zapasów. Pan Wanderstraten zaś popatrzywszy na siostrzeńca, pokiwał głową i mruknął: "O jakże zazdroszczę temu chłopcu! O śpi, kiedy koło niego sroży się nieprzyjaciel, jak wilk rozbestwiony! Szczęśliwy, czyj umysł taki spokojny!"

Z ciężkiem westchnieniem przysunął krzesło do okna i począł przypatrywać się w milczeniu wprawdzie, ale z gniewem pustoszenia swej własności ręką nieprzyjacielską, która nic uszanować nie potrafi.

"Panie zbaw nas ode złego!" modlił się i wyczekiwał niecierpliwie tego ranka, kiedy już, jak mu zdawało się, odejdzie nieprzyjaciel.

IX.

Zakończenie.

Z całym majestatem powstało ze snu

słońce i oświetliło przepysznem kwieciem zasianą ziemię. Promienie jego padały na tysiące miejsc radości, lecz i na niejedno miejsce żałoby i spustoszenia. Ten ogród okalający pałac pana Wanderstraten, te najbliższe okolice, wczoraj jeszcze takie miluchne, dzisiaj przedstawiały już tylko obraz zniszczenia. Domki i chaty popalono, więc tylko zgliszcza wskazywały miejsca, gdzie wczoraj jeszcze stały, kwiaty były pozrywane, grządki podeptane, a ogrodzenie połamane. Widok podobny zapełnił żalem i oburzeniem serca wszystkich zamkniętych w pałacu, a pan Wanderstraten zaledwie zdołał powstrzymać się od złorzeczenia tej zgrai dzikiej. Skrzywiła się również i twarz Emeryka, jego jednak uwaga zwróconą została niebawem na co innego, a co nawet obecnie o wiele ważniejszem było jak oglądanie owego obrazu zniszczenia. Nieprzyjaciel zdawał się jeszcze spokojnie spać, a tylko warty rozstawione w około w odległości jakich siedemdziesięciu kroków od pałacu zdradzały, że niema zamiaru od oblężenia odstąpić, niemniej kazały dorozumiewać się, że nieobawia się wcale, niespodzianej wycieczki z pałacu. Jak tylko promienie słoneczne padły na twarz śpiących, pozrywali się z twardych legowisk, spali bowiem na samej gołej ziemi, pochwycili za broń i poczęli ustawiać się w grupy. Jedna z tych grup zwracała więcej uwagi na siebie, wskazał ją więc Emeryk Herkulesowi i panu Wanderstraten, którzy równie stali przy oknie. Jakkolwiek oddalenie były zbyt wielkie, aby rozpoznać można było rysy tych mężczyzn, nie ulegało jednak wątpliwości, że to dowódcy, którzy prawdopodobnie zeszli się razem na naradę, co uczynić dalej ze zamkniętymi wewnątrz pałacu. Korony z pstrych piór i różne błyskotki, jakiemi obwiesili się i przystroili, kazały domyślać się tego, że to właśnie dowódcy.

“Niebawem dowiemy się, co dalej będzie,” zagadnął Emeryk. “Od decyzyi tych ludzi zawisło teraz, czy swobodnie odetchniemy, czy też gotować się będziemy do dalszego boju. Czy ty również tak samo sądzisz Herkulesie?',

“Nie inaczej!” odpowiedział tenże. “To dowódcy. Oni rozkazują, a inni słuchać muszą. Zdaje się, że nie mają ochoty do dalszej walki.”

I w rzeczy samej zdawało się, jakoby przypuszczenia Herkulesa były prawdziwe. Kilku dowódców odłączyło się, po kilkuminutowej naradzie, i każdego z nich otoczyła zaraz zgraja czarnych. Każdy do swej zgrai przemówił słów kilka, poczem natychmiast murzyni zebrali i spakowali wszystko, coby jakąkolwiek mogło mieć wartość i zawrócili w kierunku ku lasom. Pan Wanderstraten widząc to, odetchnął jakby po usunięciu ciężaru wielkiego z serca swego. Emeryk ucieszył się a Herkules zagadnął śmiejąc się: “Oto idą z rupieciami! Nie prędko wrócą, ja przynajmiej tak myślę, bo nic nie zyskali, tylko kule karabinowe! Głupi nieprzyjaciel nie potrafił znaleźć składów kosztowności!”

Tryumf naszych przyjaciół był jednak zawczesnym. Byliby o wiele lepiej uczynili, gdyby korzystając z tej chwili, kiedy nieprzyjaciel na nich uwagi nie zwracał, opanowali byli łodzie, a można je było nader łatwo, bez wystrzału nawet opanować. Zaledwie bowiem kończył Herkules mówić rozległ się krzyk w okolicy składów kosztowności i w okamgnieniu powróciły zgraje nieprzyjaciół na plac boju. Dowódzcy rozproszyli się na wszystkie strony: część zgrai nieprzyjacielskiej pobiegła ku rzece Korentin, i zanim wyglądający z pałacu, przerażeni tym nowym widokiem, mogli przyjść do siebie, zajęła łodzie i opanowała armaty.

“Teraz już pewnie zgubieniśmy!” zawołał Emeryk, a twarz jego oblana dotychczas rumieńcem pobladła. “Nieprzyjaciel dostał się do składów kosztowności i uwolnił Mikołaja, a ten zechce teraz pomścić się na nas. Bądźmy przygotowani na najgorsze!”

I w rzeczy samej zaledwie upłynęło minut kilka, a już zobaczyli dozorcę, jak kroczył w towarzystwie dowódzców. Wzrokiem dzikim spoglądał na pałac, a kułakiem groził zgromadzonym w tymże. Chwilę potem zgraje napastników zgromadziły się w około pałacu i tak go okoliły, że niepodobna było w żaden sposób ujść, nie stoczywszy przedtem krwawej bitwy. Emeryk i Herkules spodziewali się napadu natychmiast, więc trzymając broń w pogotowiu,

zdecydowani byli bronić się do ostateczności. Nad wszelkie jednak spodziewanie stali murzyni całkiem spokojnie na oznaczonych miejscach, i długa pauza przeminęłą, zanim odgadnąć było można, jaki plan zamierza wykonać nieprzyjaciel. Nareszcie zbliżyli się dowódzcy i dozorca do pałacu. W rękach nieśli zielone gałązki, broń zaś popuszczali na dół w oznakę, że życzą sobie porozumieć się z oblężonymi. Emeryk otworzył więc okno i zapytał, czego by chcieli.

"Przejdźcie na tamtą stronę pałacu, od strony rzeki," odpowiedział dozorca z drwiącym uśmiechem. "Tam usłyszycie warunki, jakie wam stawiać będziemy."

Pan Wanderstraten, Emeryk i Herkules przeszli więc na ową stronę, a pierwszą rzeczą, jaka im się przed oczy nasunęła były armaty, prawdopodobnie na rozkaz dozorcy ustawione już na brzegu, z paszczami skierowanemi na pałac.

"Hultaj!" krzyknął pan Wanderstraten nie posiadając się ze złości: "Wymierzyłoby się tylko sprawiedliwość, gdybyśmy bez wszelkich względów, skoro się pokaże, zastrzelili go jak wilka. Herkulesie daj mi jaką strzelbę!"

"Ależ wuju, dajże pokój!" błagał Emeryk. "Wszak widzisz, że idzie bez broni a jakkolwiek wielki to szelma, nam jednak nie wolno inaczej działać, tylko jak przystało ludziom honoru i sumienia. Zastrzelić go teraz, byłoby morderstwem, kochany wyju! Pomstę za haniebną zdradę jego, pozostaw niebu, a to go znajdzie, skoro godzina jego nadejdzie. Lepiej posłuchajmy czego rząda."

"Panie Wanderstraten!" zawołał dozorca, podszedłszy w towarzystwie dowódzców pod same okno. "Wysłuchajcie mnie—chcemy wam łagodne warunki stawiać, jeżeli wypełnicie to czego żądamy. Dom wasz cały otoczony jest dzielnymi żołnierzami, nadto grożą mu jeszcze trzy armaty, które go w kilku minutach do szczętu rozwalą, jeżeli tak postąpicie, że niechęć weźmie górę. Dlatego bierzcie to na rozum, i uczyńcie, czego żądamy."

"A jakież wasze żądania, podły hultaju?" zapytał pan Wanderstraten, odzyskawszy w wielkiej złości, już tyle odwagi, aby dozorcy całą pogardę, jaką dla niego czuje okazać.

"Nie żądamy niczego więcej, jak tylko wydania waszego siostrzeńca i jego przyjaciela Herkulesa. Skarbów waszych nie pragniemy, gdyż składy, w których mnie zamknął Emeryk już wypróżnione, ja zaś postarałem się o to, ażebym przy podziale źle nie wyszedł. Oddajcie więc tych dwóch chłopaków, których widzę przy waszym boku, a wówczas wy i wszyscy wasi niewolnicy zostaną ocaleni. Nie namyślajcie się długo, jeżeli bowiem będziecie zwlekać, dam hasło do ataku i zostaniecie wszyscy pogrzebani pod gruzami pałacu!

"Więc rozpoczynaj bój nędzniku!" zawołał pan Wanderstraten oburzony. "Odbierz dobroczyńcy swojemu tak samo życie, jakieś mu zabrał już majątek jego, tylko nie miej nadziei, że wyzuję się ze czci i zdradzę moich przyjaciół podobnie jak ty swego pana! Morduj nas, ale bądź pewny, że pomsta Boża dosięgnie cię jeszcze w chwili twoich tryumfów.

Pan Wanderstraten zmienił się do niepoznania. Miasto, jak dotychczas czynił, jęczyć i skarzyć się uzbroił się w odwagę i drwił ze śmierci, która niezwłocznie po odmowie wydania siostrzeńca miała nastąpić. A odwagę tą i determinacyę wlały w niego gniew, że dozorca, pragnąc zemsty, tak podle zdradził go, a bardziej jeszcze oburzenie, że zdrajca mógł przypuszczać, jakoby on z obawy przed śmiercią mógł zapomnąć się tak dalece. Postanowił więc umrzeć raczej, aniżeli zrobić ofiarę z młodzieńca, którego z każdym dniem więcej kochał i poważał. Jakkolwiek nie mało obawiał się śmierci, więcej jednak obawiał się czynu złego i dla tego też odstąpił od okna w dowód, że postanowił nie słuchać jakiego kolwiek dalszego traktowania o układy.

Złość, nienawiść, pragnienie zemsty malowały się na przemiany na twarzy dozorcy, który tak okropnie przerachował się. Zgrzytając zębami, a nieruszywszy nawet z miejsca, obrócił się, i ani zważając, że Emeryk chce mówić, dał hasło do szturmu. Murzyni ustawieni przy armatach, przyłożyli lont, trzy razy zagrzmiało jakby od ude-

rzenia piorunu, i z paszcz armatnich wyleciały kule ziejące zniszczeniem, na grube mury pałacowe. Równocześnie nieprzyjaciel krzycząc przeraźliwie, przypuścił szturm ze wszystkich stron, i wypuścił całe chmury strzał do każdego otworu, a zewnątrz odpowiedziano dzielnymi strzałami, bo każdy murzyn wolał z chwałą poledz na placu boju, jak młodego i przychylnego mu Massę wydać w ręce nieprzyjaciela. Emeryk jeden pośród tego stał spokojnie i nie przykładał ręki do obrony. On miasto pochwycić za broń, wiązał chustkę białą na kij, a zawiązawszy począł kiwać do dozorcy, który właśnie nabijał armaty.

"Wstrzymajcie się!" zawołał głosem młodym tak mocno, że przygłuszył wszelki hałas. "Nie zabijajcie się bez potrzeby, raczej posłuchajcie mię!"

Dozorca powstrzymał się z nabijaniem, kulę ciężką, którą właśnie zamierzał wepchać do paszczy armatniej porzucił na ziemię i z tryumfującym uśmiechem na ustach zbliżył się do okna, w którem stał Emeryk blady wprawdzie, mimo to jednak wesoły i zdeterminowany.

"Przyjmujecie moje warunki?" zapytał dozorca.

"W połowie!" odpowiedział Emeryk. "Jam gotów, oddać się w wasze ręce, aby podłożyć kres dalszemu rozlewowi krwi Zróbcie więc ze mną, co wam się podoba — lecz przyjacielowi mojemu niech wówczas i włos z głowy nie spadnie."

"Przystaję!" zawołał dozorca, i dał znak, ażeby zaprzestano dalszej walki.

Murzyni cofnęli się od pałacu ze wszech stron, pan Wanderstraten zaś w śmiertelnej trwodze pochwycił Emeryka w swe ramiona, i począł zaklinać, ażeby nie poświęcał się. Ale Emeryk nie chciał ustąpić.

"Przezemnie prowadzi się ta walka, — mówił — byłbym więc lichym człowiekiem, gdybym ciebie drogi wuju i tych wszystkich wiernych ciągnął za sobą w przepaść. Lepiej, że poświęci się jeden, jak gdyby setki miały to uczynić, ja i tak zostanę zabitym, chociażbym i siedział czas jeszcze jakiś za tymi murami, ściany te nie podołają długo opierać się druzgocącym kulom armatnim, wypuść mię więc kochany wuju i zachowaj w życzliwej pamięci. Bądź zdrów Herkulesie! Zajmij opróżnione po zabiciu mnie miejsce w sercu mojego wuja, i bądź mu tak wiernym przyjacielem, jakim byłeś dla mnie. Bądźcie zdrowi, wy wszyscy dzielni, obrońcy. Umrę chętnie, ażeby was uratować!"

Raz jeszcze przycisnął Emeryk wuja do swej piersi, uścisnął rękę czarnego przyjaciela i wyskoczył szybko przez okno. Zanim zdołano przybiedz do okna, ażeby go zatrzymać, już był na ogrodzie. Krokiem pewnym zbliżył się do dozorcy i zagadnął: "Oto masz mię zdrajco i zrób zemną co ci się podoba, ja wcale nie obawiam się ciebie, i drwię tylko z twojego gniewu. Ostatnie moje spojrzenie opowie ci jeszcze, jak głęboko pogardzam tobą!"

Z krzykiem wściekłym, wyciągnął Mikołaj nóż z za pasa, i rzucił się z nim na Emeryka, który stał zupełnie spokojnie. Zanim jednak rozruszony dozorca zdołał wymierzyć śmiertelny cios w piersi Emeryka, czarna jakaś postać stanęła raptem pomiędzy nimi, i wyciągając ramiona wyrzekła spokojnie, ale tonem rozkazującym: "Ten biały należy do mnie! Banu strzeże go. Niech się nikt nie poważy zerwać mu choćby włos z głowy."

Blady ze złości, cofnął się dozorca trzęsąc od swojej ofiary i spojrzał na dowódzcę nieprzyjacielskiej zgraii wzrokiem tygrysim. Nie poważył się jednak podnieść rękę na niego, bo dowódzcę Banu już otoczyli czarni jego towarzysze, którzy śmierć jego, w okropny sposób byliby pomścili. Pohamował więc Mikołaj wściekłość swoją i po chwili dopiero przemówił głosem drżącym od gniewu tłumionego: "Dlaczego Banu staje pomiędzy mną, a ofiarą moją? Banu zrywa układł, który zawarł ze mną za pośrednictwem powiernika swego. Ja przyrzekłem oddać wszystkie, skarby białego do rąk Banu, Banu zaś przyrzekł za to, że ten biały Massa, który mię gryzł, kpał i uderzył, do mnie należeć będzie. Gdzie jest Zamba? niechaj potwierdzi że tak było."

"Biały mówi prawdę" zawołał jeden z murzynów, zwrócony ku dowódzcy Banu "Biały Massa należy do niego! Banu musi dotrzymać słowa chociaż złemu człowiekowi, skoro słowo raz dał."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEŚLADOWANA

KROTOFILA W JEDNYM AKCIE DLA SCENY POLSKIEJ

EDMUNDA DRZEWIECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Piotr.

O nie! Jakkolwiek żyjemy wczasach w których wszystko koncesyją się otrzymuje.

Dama.

Powiedz mi pan co jest głównie potrzebnem do małżeństwa.

Piotr.

Mnie się zdaje że głównie powinna być miłość, harmonia i zgoda, ażeby w tem pożyciu można wytrwać do śmierci.

Dama.

Ja inaczej sądzę. Podług mnie mąż powinien być absolutnym poważanym i kochanym jak król, żona zaś tym narodem słuchającym swego króla, (*zbliża się do niego*) Mąż powinien zajmować się sprawami zewnętrznemi, finansami, wojną, wymieszaniem sprawiedliwości. Żona zaś obierze wewnętrzne (*kładzie rękę na jego sercu*) a jeżeli to otrzyma wtenczas szczęście radość i pokój zamieszkają pod ich dachem. Jakżesz się panu podoba moja teorya.

Piotr (*obejmuję ją wpół*).

Teorya ta jest tak piękną, że bierze mnie ochota praktycznie przekonać się - o tem (*chce jej rękę pocałować*).

Dama.

Co się Panu stało?

iotr.

Prawda sam nie wiem! Ale daj mi pani swą rączkę, a z pewnością jej nie ukąszę. —

Dama (*śmiejąc się kokietuje.*)

Ależ panie, nieprzyjacielu kobiet.

Piotr.

Tak jestem nieprzyjacielem kobiet, ale pani nie jesteś kobietą, tylko guwernantką, a ja przecież nie powiedziałem że jestem nieprzyjacielem guwernantek a do tego gdy ta guwernantka posiada tak piękną białą, kształtną raczkę jak ta oto. Masz pani więcej takich łapeczek?

Dama (*podaje drugą.*)

Jeszcze jedną.—

Piotr.

Czyż te rączki służą tylko na to aby zagwożdzone głowy pensyonarek oświecać, lub po całych godzinach na fortepianie grywać? przecież one do lepszych rzeczy przydać się mogą (*całuje jej ręce.*)

Dama.

O! jak na nieprzyjaciela kobiet, całujesz pan z całą rutyną.—

Piotr.

To już talent wrodzony, to instynkt (*całuje znowu*) To aksamit to jedwab atłas, moiree antigue. O krrólowo! życie jest jednak tak pięknem (*chce przysięgnąć do siebie*).

Dama.

Co pan robisz?

Piotr.

Opuszczona sierota! Bezdzietna guwernantko, prześladowana niewinności! Jednego całusa; jednego maciupinkiego całusa.

Dama.

Co pan sobie myślisz?

Piotr.

Tylko czoło, chciałbym nauczyć się studjować fizognomię (*Całuje ją w czoło ona krzyczy, słychać mocne dzwonienie.*) Nieba! to Bogumił!

Dama.

To pański służący, o wstydź się pan! mój honor tak splamić (*mocniejsze dzwonienie.*)

Piotr.

Nie, to nie Bogumił, on tak nigdy nie dzwoni, to ktoś obcy! Jak panią tu zastanie, mnie w szlafroku, będę skompromistowany. Ukryj się Pani prędko w moim sypialnym pokoju! (*dzwonienie*) *daje jej salopkę i kapelusz usadza przeciwnie na głowę.* Weź pani to z sobą! aby zatrzeć wszelki ślad. Spiesz się pani i uchodź!

Dama.

Dobrze! ale skoro ten obcy odejdzie, zażądam od Pana wytłomaczenia się z tego coś przed chwilą uczynił *wskazuje na czoło odchodzi na lewo* (*dzwonienie. Piotr otwiera.*)

Piotr.

Bądź Pani tylko spokojną i nieodzywaj się (*spuszcza firankę*). Do djabła ten bałwan urwie mi jeszcze dzwonek! (*otwiera drzwi w tylnej dekoracyi, cofa się*) Co wiedzę mój siostrzeniec Gustaw?

SCENA V.

Wchodzi Gustaw (elegancko ubrany zirytowany i wzruszony, krawatka rozwiązana,) ciągnie gwałtownie Piotra na przód sceny, staje, spogląda na niego z boleścią, załamuje ręce i woła!

Gustaw.

Stryju, stryju, stryju!

Piotr.

No jeżeli mi nic więcej nie masz do powiedzenia, to szkoda było tego zachodu i hałasu, jakiego w całym domu narobiłeś! co ci się stało. Czego żądasz.

Gustaw.

Stryju, najlepszy stryju, przychodzę cię prosić na kolanach, błagać o przebaczenie.

Piotr.

Zwaryowałeś czy co u djabła!

Gustaw.

Jeszcze nie. Ale strasznie zawiniłem Stryj mi odradzałeś a nawet zabroniłeś żenić się, a ja byłem tyle nierozsądnym, że nie słuchałem twoich rad. O stryj miałeś słuszność, słuszność, słuszność! Teraz się przekonałem że kobiety są złe, złe, złe! Wszystkie, wszystkie, wszystkie.

Piotr.

Jak to! wyrzekłeś się już swej miłości.

Gustaw.

Już, już! już! Oto na wieki, na wieki! na wieki!

Piotn.

Toż u Djabła! on tu wcale dziś z tąd nie wyjdzie, jeżeli będzie wszystko trzy razy powtarzał.

Gustaw.

Stryj jesteś nieprzyjacielem kobiet dziś podaję ci rękę i będziemy je wspólnie prześladować. Dziś nabrałem przekonania, straszliwego przekonania że każda kobieta jest prożną jak paw, fałszywa jak paw, fałszywa jak kot, niestała jak bazyliszek; podstępna jak wąż, nienawistna jak leopard, w śmiechu hyeną, we łzach krokodylem, kroko-drillem chciałem powiedzieć nie krokodylem.

Piotr.

No to już cała menazerya.

Gustaw.

O Heleno! Heleno! Heleno!

Piotr.

Co takiego zrobiła ta Helena, Helena! Helena!

(Ciąg dalszy nastąpi.)